Wydawnictwa rok VII
Dnia 17 lutego 1929 roku.

Nr. 285

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

NIEPODLEGŁOŚĆ WATYKANU, SUVERENITET PAPIEŻA

NIEDYSKRECJE:

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

Redakcja: Warszawa, ulica Szpitalna 1, telefon 282-54.

NIEDYSKRECJE

KORFANTIADA REDIVIVA! W miarę jak morał insanity obecnego sejmu na tle płatanych rządowi psikusów zaczęła się podnosić, odkąd opozycja „poczuła się na sile", aby odegrać rolę turkieca-podjadka pod poszczególnemi fotelami ministrów, wypełzła ze swej kryjówki i coraz śmielej głowę podnosić zaczyna najohydniejsza hijena naszego życia politycznego. Wystąpienia w Sejmie popleczników Korfantego, miały znamiona tak potwornej gry, że nadają się one na ławę oskarżonych. Panowie ci, wsłuchując się w pogłosy haseł Korfantego, z kretowiska jego usiłują uczynić wylęgarnię godzących w całość Rzplitej os. Cynizm, z jakim przyjmują oskarżenia innych posłów, wskazuje na to, iż korfantiada posiadła duszę ich do cna. Adherenci Korfantego pomogli mu zapewne w zwołaniu poufnej narady pp. Grajka, Pietrzaka i Wolnego (nie tego z zakładu pogrzebowego), na której postanowiono rzucić odpowiedzialność za stan rokowań robotników z przemysłowcami na wojewodę Grażyńskiego. Destrukcyjna robota Korfantego i jego kilku, chorych na ambicję, lub zakłamanych popleczników, robota zmierzająca do rozpętania żywiołów separatystycznych aż do rozlewu krwi, miała w ten sposób zostać ukoronowania : p. Korfantemu zapewnić laur zbawcy Śląska ...ad usum Volksbundu. Gra się nie udała. Sprawa strajku na Śląsku przestała być nożem przystawionym do gardła wojewody, a sejm śląski skończył swój żywot. Ale tu dramatowi temu koniec! Korfanty nie może dalej odgrywać roli grzyba na organiźmie Śląska. Dość jego przewrotnej roboty. Człowiek, o którym opinja publiczna dawno sąd ostry wydała, którego nawet sejm odsądził od czci — niema prawa do występowania pod jakimkolwiek pozorem w sprawach publicznych. Typy w rodzaju Korfantego muszą usunąć się w cień, godne miejsce pobytu puszczyka. Muszą, jeśli ostatnie ślady gangreny dawnego życia społeczno-politycznego mają zniknąć z organizmu polskiego. Są zbyt ohydne, by społeczeństwu można nakazać ich tolerowanie, zbyt zgubne, by być pobłażliwym, zbyt straszne, by milczeć.

* * *

ZWIĄZAĆ RĘCE POLSCE a uzyskać samemu wolną rękę w stosunku do Rumunji i państw bałtyckich — taki miał być podobno istotny cel protokółu Litwinowa, jeśli wierzyć jednemu z najbardziej rozpowszechnionych w Estonji dzienników, na zachodnio-europejską jeśli już nie na amerykańską wprost miarę zakrojonem „Päewalchtowi".

Istotnie, pewne szczegóły zdają się potwierdzać tę hypotezę. Z. S. R. R., zgłosiwszy pod adresem Polski swój projekt protokółu — co, nawiasowo mówiąc, było niezbyt dyplomatycznem wyrwaniem inicjatywy p. Kelloggowi — pilił następnie, by podpisy pod nim położone zostały jaknajrychlej. Gdy Polska odpowiedziała zasadniczą zgodą z zastrzeżeniem jednak, iż chce działać wespół ze swymi sąsiadami, wówczas rozpętała się w prasie sowieckiej nawałnica oburzeń pod naszym adresem, iż są to wykręty, mające przesłonić uchylenie się od podpisu. A jednocześnie rozpoczęły się intrygi i intryżki, których celem być miało niedopuszczenie do podpisania protokółu przynajmniej przez państwa bałtyckie, jeśli już położeniu rumuńskiego podpisu nie udało się zapobiec.

— Tak te rzeczy przedstawia talliński dziennik. W opinji innych, jedynym i istotnym celem owego pośpiechu było to tylko, by Z. S. R. R. mógł się wykazać swą niewątpliwą, dokumentalnie stwierdzoną pokojowością właśnie w momencie, gdy prezes sowieckiego banku państwa na nowojorskim rynku pieniężnym roztaczał niezwykle ponętne perspektywy przed tymi, którzyby chcieli lokować swe pełnowartościowe dolary w bezdennie przepaścistych koncesjach rosyjskich . I tak się właśnie złożyło, że ściśle tegoż dnia, gdy w „białokamiennej" Moskwie kładziono podpisy pod protokółem Litwinowa, tegoż samego dnia dyrektor „Gosbanku" Szejnman przemawiał na jednem z przyjęć w Stanach Zjednoczonych o nieograniczonych możliwościach rozbudowy gospodarczej państwa Sowietów.

Która z tych hypotez jest bliższą prawdy — nie chcemy tu rozstrzygać. Nie sądzimy jednak — i to pozwolimy sobie dodać, — by istotnym celem protokółu były li-tylko szczere i bez żadnych myśli ubocznych dążenia pokojowe. Te przecież byłyby sprzeczne z podstawowem założeniem polityki komunistycznej, polegającej — jak wiemy — na zburzeniu wszystkich bez wyjątku państw burżuazyjnych.

Wszelkiemi, jakie są tylko, środkami.

* * *

WALKI ULICZNE W BOMBAJU nie są zjawiskiem rzadkiem ani oderwanem w Hindustanie. Wśród skupionej, po większej części wynędzniałej, pracującej po 12 godzin na dobę, wiecznie głodnej, 320-miljonowej ludności Indyj, różnojęzycznej i różnowyznaniowej, nietrudno wzniecić płomień nienawiści. Tajemnica wielowiekowego panowania anglików w Indjach polegała na umiejętnem stosowaniu starorzymskiej zasady „divide et impera", na nieustannem wygrywaniu wzajemnych niechęci plemiennych w Indjach. W latach powojennych, gdy budzący się nacjonalizm indyjski pod wodzą swaradżystów coraz natarczywiej domaga się przyznania Indjom praw dominium, anglicy stanęli wobec niebezpieczeństwa zjednoczenia wszystkich mieszkańców półwyspu. Komisja parlamentarna londyńska, t. zw. komisja Simonsa, nie zdołała, jak wiemy, osiągnąć porozumienia; wówczas korzystając z odwiecznego antagonizmu między ludnością mahometańską a hinduską, rozpowszechniono w Bombaju pogłoski, jakoby mahometanie szczepu „puthanas" porywali drobne dzieci i składali je bóstwom w ofierze. Pomimo ich absurdalności pogłoski te znalazły posłuch wśród robotników bombajskich, tembardziej, iż znienawidzeni „puthanas" przybyli z Afganistanu w okresie stosowania przez robotników hinduskich „biernego oporu", obejmując stanowiska strajkujących tubylców. Na tem tle wynikły właśnie walki uliczne w Bombaju między mahometanami a hindusami, które trwały przeszło tydzień i pociągnęły za sobą kilkaset ofiar w zabitych i rannych. Rzecz godna podkreślenia, iż garnizon angielski przez pięć dni bezczynnie przyglądał się wzajemnej rzezi w Bombaju, ze względów formalnych pozostawiając utrzymanie porządku policji. Dopiero energiczna interwencja wojsk kolonjalnych położyła kres krwawym wypadkom. Nie znaczy to jednak, aby w Indjach nastąpić miało uspokojenie.

NIEPODLEGŁOŚĆ WATYKANU, SUVERENITET PAPIEŻA

Ugoda, która likwiduje zastarzały spór pomiędzy Watykanem a królestwem włoskiem stanowi niewątpliwie fakt wielkiej doniosłości, i zarazem sensacyjną niespodziankę nietylko dla szerokiej opinji, lecz i dla zawodowych polityków. Że Papież nie odzyska Rzymu ani państwa kościelnego, to od dziesięcioleci nie mogło ulegać wątpliwości, lecz zaplątany w 1870-ym roku węzeł zdawał się niepodobnym do rozwiązania. Jak wiadomo, po zajęciu militarnem „wiecznego miasta" przez wojska Wiktora Emanuela, a następnie po ogłoszeniu go stolicą zjednoczonego państwa, izby włoskie uchwaliły prawa gwarancyjne, mające zapewniać Naczelnikowi Kościoła swobodne sprawowanie jego władzy duchownej i uchwaliły jeszcze sumę dwóch miljonów, którą odtąd miał on stale pobierać ze skarbu włoskiego. Ale Papież Pius IX nie uznał tych praw, nie przyjął wyznaczonej mu sumy i został z własnego postanowienia „więźniem Watykanu". Żaden z jego następców nic zasadniczo nie zmienił w powyższem stanowisku i nie zrobił żadnego kroku, ażeby nawiązać stosunki z urzędowemi Włochami. Zdawało się, że obie strony znalazły się w położeniu bez wyjścia. Papież nie mógł się zgodzić na to, aby zostać biskupem włoskim, podlegającym w zakresie państwowym świeckiemu rządowi. Taki stosunek musiałby kompromitować władzę papieską u innych narodów katolickich i pobudzać je do utworzenia własnych kościołów.

Znany publicysta Wingham Steed, który wydał niedawno dwa tomy pamiętników, obejmujących trzydzieści lat historji europejskiej, poświęcił w nich wiele miejsca Włochom i kwestji Rzymu. Według niego rozwiązanie z przed pół wieku z górą nie nastręcza możliwości żadnej rewizji lub poprawy, lecz wypływa z niego konieczność wrogiego stosunku pomiędzy Watykanem a Kwirynałem, stosunku, który już nabrał charakteru chronicznego i stał się poniekąd systemem politycznym. Według publicysty angielskiego antagonizm do Włoch urzędowych jest dla narodów katolickich jedyną rękojmią ponadpaństwowego stanowiska Papieża, a więc ten musi grać komedję, w której rząd włoski mu dopomaga. Obie strony rozumieją się nawzajem i nie pragną robić jedna drugiej rzeczywistych trudności. W tem przedstawieniu rzeczy Steed daje widoczny upust swej niechęci do Włoch i anglikańskiej nienawiści do papiestwa, lecz nas w danym razie uderaz rzecz inna. Oto publicysta, cieszący się europejską sławą i dużą znajomością przedmiotów, któremi się zajmuje, ani przypuszcza, że jego mniemana kwadratura koła niebawem znajdzie rozwiązanie.

W pewnym odłamie naszej opinji kwestja świeckiej władzy Popieża miała tak fanatycznych obrońców, że przed ich oczyma zasłaniała wszystkie inne sprawy. Według ich przekonania dzieje Europy splamione są straszną zbrodnią, która musi być naprawiona, jeżeli jej cywilizacja ma się nadal rozwijać i przodować światu. Naiwny czytelnik myliłby się mocno, gdyby mniemał, że tu chodzi o rozbiory Polski. Z tamtemi nasi ultramontanie łatwo się pogodzili, ale wbrew rozumowi i historji zachowali wiarę, że państwo kościelne kiedyś będzie przywrócone i odbudowane. Ale quomodo, quibus auxiliis? O tych niedorzecznych rojeniach pisał w swoim „Mesjanizmie polskim" zmarły polityk galicyjski, Wojciech Dzieduszycki, którego chyba nikt nie posądzi o chęć szkalowania lub ośmieszania arystokracji polskiej. Narzędziem wyroków, mających przywrócić świecką władzę Papieża, ma zostać car rosyjski, który rozgromi swych wrogów na zachodzie, rozprawi się zwycięsko z jego anarchią i przywróci podstawy prawowitego porządku. Oczywiście Rzym godnie powita i uczci nowego i większego Karola Wielkiego...

Dalszy obrót rzeczy nie potwierdził oczywiście powyższych aberracji, lecz nie utrzymał się również na rozwiązaniu z roku 1870-go. Ugoda obecna rozłącza dwie rzeczy, które obrońcom świeckiej władzy Papieża zdawały się nierozdzielne — niezależność osobista i panowanie nad masą ludzką na sposób monarchy.

Na lat dziesięć przed zajęciem Rzymu pisały emigracyjne „Wiadomości Polskie", będące organem ks. Adama Czartoryskiego, a więc kulturalnego i niepodległościowego katolicyzmu:

„Lecz nietylko rządzić miljonami dusz katolickich Papież nie byłby w stanie bez swej niezależności monarszej: bez niej w obecnych przynajmniej stosunkach nie mógłby on utrzymać jedności wiary. Nie masz w prawie narodów pośredniego stanowiska między władcą a poddanym. Pozbawiony władzy królewskiej, Papież staćby się musiał obcego monarchy poddanym, a wówczas zwierzchności naczelnej nad całym światem katolickim żaden rząd nie chciałby mu przyznać".

Otóż Papież na mocy obecnego porozumienia z Włochami zostaje zupełnie niezależnym. Nie będzie niczyim poddanym, lecz suwerenem. Wprawdzie ten suwerenitet obejmuje mały obszar, niewiele większy od obecnego pałacu watykańskiego z jego zabudowaniami i ogrodami, lecz pod względem prawnym stanowić ma odrębne i niepodległe państwo. Nie ma on wprawdzie rzeszy poddanych, któraby stanowiła objekt i podstawę władzy monarszej, lecz ta władza nie jest bynajmniej potrzebna do sprawowania rządu nad Kościołem. Nie tylko nie jest potrzebna, lecz zazwyczaj była szkodliwa.

Państwo kościelne, które przed 1859-ym rokiem miało przeszło 41.000 km.; nigdy nie rozporządzało siłą, zapewniającą bezpieczeństwo i wolność Papieżowi. W czasach potęgi Watykanu siła materjalna państwa kościelnego była zgoła zbyteczna, gdyż oręż duchowny zrzucał wtedy z tronu nawet takich mocarzy, którzy mieli siłę dziesięćkroć większą, gdy potęga owa zmalała, papieże nie znaleźli w swem państwie obrony przed zamachami na ich wolność ze strony impetycznych monarchów.

Wszystko to należy do minionej historji, której nie cofnęła bynajmniej najnowsza ugoda. Ona zapewniła tylko Naczelnikowi Kościoła prawa suwerenne, a tem samem usunęła wszelką możliwość uważania go za podlegającemu jakiemukolwiek rządowi.

Porozumienie z Watykanem jest niewątpliwie wielkim sukcesem Mussoliniego, pierwszym realnym sukcesem doniosłego znaczenia politycznego. Dotychczas dyktator faszystowski wiele zapowiadał i obie-

cywał, teraz po raz pierwszy może się wykazać mistrzowskiem posunięciem zarówno w polityce wewnętrznej jak i w zagranicznej. Zwłaszcza w tej ostatniej umowa z Watykanem musi być wstępem do następnych posunięć.

T. Grużewski.

O POMOC SPOŁECZNĄ DLA MŁODOCIANYCH

Nasza polityka społeczna wyraża się w żądaniu pewnego minimum warunków kulturalnych dla każdego mieszkańca państwa. Prawdziwie demokratyczne dążenia nie idą w kierunku obniżania kultury ogółu, ale obierają drogę, która pozwala się wznieść warstwom, stojącym dzisiaj niżej pod względem kulturalnym. Dlategoteż, ostatnio, zatroszczono się o ustalenie pewnego poziomu najniezbędniejszych potrzeb kulturalnych dla każdej jednostki i o zapewnienie każdemu takich warunków, uznanych za minimalne.

Oczywiście, że do najniezbędniejszych potrzeb zaliczono konieczność kształcenia młodzieży do lat 14-stu oraz zapewnienie możności zdobycia odpowiedniego przygotowania do pracy zawodowej. Otóż, o ile pomoc społeczna obejmuje okres niemowlęctwa, wiek przedszkolny, czas szkolny, starając się otoczyć odpowiednią opieką wszystkie studja rozwojowe młodocianych, o tyle, z chwilą dojścia dziecka do lat 14-stu, uważa je za względnie samodzielne, zupełnie dojrzałe do walki o byt. Tymczasem dzisiejsza psychologja doświadczalna stwierdza, że właśnie ten okres życia, w którym się odbywa dojrzewanie płciowe, to okres wstrząsów i przewrotów zarówno fizjologicznych, jak i psychicznych. Czas, w którym młody osobnik, nie mogąc sobie poradzić z nowemi przeżyciami, z napływającemi nań siłami — traci często równowagę wewnętrzną i łatwiej niż kiedykolwiek może się załamać i skrzywić drogę życia. Czas dojrzewania to jednocześnie okres wzmożonej pobudliwości, podatności do ulegania wszelakim wpływom, zahaczającym o budzące się siły życiowe i odpowiadające im zainteresowania. Pornograficzne książki, ilustracje, piosenki budzą w tym okresie najczęstsze echa i mogą się przyczynić do wyrządzenia najgłębszych krzywd, które zaważą na całem późniejszem życiu osobnika. Najwięcej samobójstw wśród młodzieży szkolnej przypada właśnie na okres dojrzewania płciowego. Brak specjalnej umiejętności w obchodzeniu się z podniecaną i niezrównoważoną młodzieżą w tym okresie życia — wywołuje b. łatwo nieobliczalne i niepożądane skutki.

Pracując w jednej z poradni zawodowych warszawskich, gdzie się przewijają setki młodocianych ze sfer robotniczych, mam stałą sposobność do czynienia obserwacyj nad młodzieżą w wieku od lat 14 do 18. Z pomiędzy zgłaszających się prawie 85 proc. pragnie pracy wykwalifikowanej t. j. pracy, szkolącej zawodowo, mogącej zapewnić samodzielny byt w przyszłości. Część tej młodzieży uczęszcza na dokształcające kursy zawodowe — inni znowu pragną zdobyć wykształcenie fachowe tylko na terenie warsztatu czy fabryki. Zarówno pierwsi jak i drudzy muszą posiadać t. zw. „praktykę" w warsztacie, bo dla kształcących się na kursach praktyka jest wymagana koniecznie jako dopełnienie nauki teoretycznej, — inni widzą w tej praktyce jedyne źródło zdobycia wiadomości fachowych. Zdawałoby się, że ten pęd młodzieży do pracy zawodowej jest zjawiskiem b. pomyślnem i ze względu na osobistą przyszłość każdego osobnika i ze względu na stosunki społeczne i gospodarcze kraju.

Niestety, tylko znikomej garstce naszej młodzieży udaje się posiąść naukę zawodu na drodze praktycznej. Ogromna większość musi poprzestawać na pracy dorywczej, zapewniającej chwilowe zarobki bez żadnych widoków na przyszłość. I podczas kiedy powszechnie znanem zjawiskiem jest istnienie na rynku pracy nadmiaru niewykwalifikowanych sił roboczych, cały szereg warsztatów odczuwa brak specjalistów i musi ich sprowadzać z zagranicy; a w tym samym czasie nawet najzdolniejsza młodzież musi się godzić często na najbardziej uciążliwe warunki pracy w warsztacie, lub też wcale nie zdobywa tej tak pożądanej praktyki.

Jakie morze buntu i nienawiści wzbiera w młodocianych przeciwko takim warunkom życia, to tylko wie ten, który się z młodzieżą w takich chwilach styka. A przecież dodać trzeba, że te przejścia właśnie przypadają na okres przełomowy od dzieciństwa do dojrzałości: na chwilę przejściową w życiu, której towarzyszy wzmożona pobudliwość i brak równowagi i w której osobnik jest jaknajmniej przystosowany do przezwyciężania trudności. Przymusowa poniekąd bezczynność (ze szkoły wyszedł — na dalsze kształcenie nie ma ani ochoty, ani pieniędzy), kryje w sobie w wielkiem mieście całą masę niebezpieczeństw ze stanowiska społecznego, przemożne pokusy dla dojrzewającego osobnika.

W tej samej poradni spotyka się liczne typy starszych już 17 i 18 letnich młodocianych, którzy tej praktyki już tak b. nie pragną — piją, palą — chcą zarobić jaknajwięcej, bo potrzebują stosunkowo dużo pieniędzy. Niektórzy w tych warunkach, nie mogąc zdobyć pożądanych zarobków, zaludnią Studzieńce, stanowiąc najtrudniejszy element do opanowania. Z pomiędzy nich wyjść mogą małoletni złodzieje, nawet zabójcy. Przed kilku miesiącami zaledwie miał miejsce fakt zabójstwa 16 letniego chłopca przez dwóch jego starszych kolegów. Wszyscy ci trzej chłopcy zgłaszali się po pracę do Oddziału dla Młodocianych przy Urzędzie Pośrednictwa: osobniki o wybitnie ujemnych cechach wielkomiejskich, — nie mogli znaleźć żadnego zajęcia, postanowili więc zabić, ażeby zdobyć potrzebne pieniądze.

5 lutego*) b. r., w związku z ostatnio zakończoną sprawą studzieniecką, pisze Kaden-Bandrowski o dzieciach, uciekających ze Studzieńca, że musiały być bezgranicznie nieszczęśliwe, zanim się tam dostały.

Pisze o tem znany pisarz w takich słowach: „Kogóż więc trzeba poprawiać i w jakiej kolejności? Owe dzieci, czy może nas, nas wszystkich, za winy tych nieletnich?". Niemowlę, którebyśmy pozostawili własnym siłom, musiałoby zginąć bez pomocy, — młodociany, pozbawiony całkowicie jakiejkolwiek opieki, narażony na tysiące pokus wielkomiejskich w szkodliwej atmosferze ulicy — w przełomowym okresie swego

*) „Głos Prawdy" Nr. 34: „To są ci sami Polacy".

życia — ulegnie z łatwością złym podszeptom. Zatapiają go fale życia i zła od wewnątrz i od zewnątrz.

Dzisiejsza medycyna dąży do zapobiegania chorobom: hygjeniczne warunki życia niszczą źródła chorobotwórcze; racjonalna hygjena społeczna musi znaleźć środki na stworzenie odpowiednich warsztatów pracy dla młodocianych. A obliczając koszty, jakie ponieść należy na tworzenie warsztatów pracy, nie można zapominać, że za to zmniejszą się wydatki, jakie stale pochłania dzisiaj walka z młodocianą przestępczością. Zamiast domów poprawczych i więzień dla nieletnich twórzmy zakłady, które będą szkolić młodzież do pracy zawodowej pod okiem wykwalifikowanych specjalistów i wychowawców.

W Chicago, dla przeciwdziałania przestępczości wśród młodzieży, zaczęto zakładać boiska, organizować publiczne gry i zabawy sportowe, ponieważ obliczenia statystyczne wykazały, że zużywanie energji na ćwiczenia fizyczne odciąga młodzież od organizacyj bandyckich, rozpanoszonych w tem mieście. Wychowawca czy działacz społeczny mając pewne określone cele i ideały, musi sobie zdawać sprawę, jakie czynniki mogą wpłynąć na rozwój młodzieży, czy danego społeczeństwa w pożądanym kierunku. Zgodnie z zasadami współczesnej psychologji można stwierdzić, że nieodpowiednie warunki przytłumią wiele dodatnich właściwości ludzkich, mogą nawet wpłynąć na ich cechy pod względem społecznym. Specyficzna atmosfera niekulturalnych środowisk wielkomiejskich w związku z bezczynnością, na jaką jest skazany przeciętny 14-letni chłopiec po wyjściu ze szkoły, w okresie dojrzewania fizycznego, — stanowi nieustające źródło młodzieńczej przestępczości. Krótkowzroczność pod tym względem, widząca tylko skutki, a nie dostrzegająca przyczyn, jest nietylko karygodna, ale może się stać niebezpieczną dla porządku społecznego z biegiem czasu.

Jadwiga Zawirska.

„DIE WELTSTADT BERLIN"

Cztery godziny jazdy pociągiem pospiesznym dzielą zaledwie Berlin od najbliższej polskiej stacji granicznej, a jednak warszawianin, czy berlińczyk rzadko odwiedzają się wzajemnie, i ustawiczna ciuciubabka z traktatem handlowym, polonofobja nacjonalistycznej prasy niemieckiej, wreszcie ciągłe biadolenie „uciśnionej" rzekomo u nas mniejszości niemieckiej nie mogą oczywiście stać się pomostem do jakiegokolwiek współżycia polsko - niemieckiego.

A Berlin cierpi na tem poważnie.

Ambicje stolicy Niemiec sięgają daleko po przyłączeniu gmin okolicznych w roku 1920 określenie „Hemptstadt" berlińczykom nie wystarcza. Dzisiaj z każdego kąta Berlina wyziera nieodparta tęsknota do pierwszeństwa wśród miast świata. Słowa „Welt" i „International" — uprowadzają obywatela berlińskiego w specjalny rodzaj ekstazy, tymczasem nie groźnej dla otoczenia, ale na przyszłość... Dlatego wszelkie imprezy, wystawy, zjazdy i t. p. mają w Berlinie stałą pieczątkę „Welt" albo „International".

Ponieważ jedynie statystyka przesądza o powadze i ogromie miasta, sięgnijmy przeto do krainy liczb.

Berlin liczy obecnie 4.200.000 mieszkańców t. j. 1/10 część ludności królestwa pruskiego. Liczba samochodów, która najlepiej świadczy o tętnie ruchu wielkomiejskiego jest rzeczywiście poważną: 24 tysiące samochodów prywatnych, 10 tysięcy taksówek i 20 tysięcy motocykli oraz 11 tysięcy samochodów ciężarowych. Koń na ulicach Berlina jest zjawiskiem dość rzadkiem, dziedzictwo jego przesunęło się na przedmieścia. Liczba 40 tysięcy koni jest jednak dowodem żywotności tego świata. Jeżeli chodzi o środki komunikacyjne, to musimy dodać jeszcze kolej podzemną, tramwaje elektryczne, autobusy. Dzielnica „am Zoo" usiłuje rywalizować z paryskim bulwarem Haussmannia, czy Champs Elysée, pod względem efektów świetlnych. Rzeczywiście Tauntzienstrasse przedstawia się bardzo kolorowo, choć nie posiada francuskiego polotu i wdzięku. Analogicznie wyglądają berlińskie usiłowania, by z Friedrichstadt'u stworzyć coś w rodzaju paryskiego Montmartre. Tutaj jest znacznie gorzej. Zamiast ośrodka zabawy, wesela i sztuki, spotykamy szereg mniej lub więcej zdecydowanych lokali z wielce zachęcającemi anonsami: Damenschönheit, Erotic, Plastic, Anmuth!

Anmuth — rzeczywiście wzruszające! Czyżby warszawskie Anmuth lokowało się w okolicach Dworca Głównego? Rekordy Berlina tkwią jednak w zupełnie innych dziedzinach, a mianowicie: miljon litrów piwa dziennie, 45.000 butelek wina i 22.000 wódek. Wogóle Berlin je! Rocznie w czeluściach Berlina ginie miljon świń, 600.000 baranów, 250.000 cielaków, 200.000 wołów, czyli krótko mówiąc 700.000 klg. mięsa. Do tej skromnej zakąski Berlin zajada jeszcze 1.250.000 kg. mąki, półtora miljona kg. chleba, tyleż kartofli i miljon litrów mleka.

Pomimo niesłychanie podłej kuchni stolica Niemiec stara się o szerokie zadośćuczynienie wymogom higjeny. 180.000 małych ogródków Berlina zajmuje przestrzeń 58.000.000 mtr. kw., dalej 11.600.000 mtr. kw. zalegają parki, oraz 300 placów sportowych i zabawowych rozgościło się na 7.500.000 mtr. kw. Na brak oddechu, wobec tego miasto nie może narzekać. Jest to konieczne tembardziej, że Berlin zaliczają do miast przemysłowych w państwie niemieckiem, a przedewszystkiem handlowych. Wielkie domy towarowe Berlina są rzeczywiście luksusem tego miasta, choć po staremu przeważa eksportowa tandeta.

Może najbardziej wysunęły się na czoło „europejskiego" postępu — berlinki. Oczywiście mówićby należało o europeizacji raczej. Stara tradycja skromnego, praktycznego przyodziewku ustąpiła na plan drugi. Obywatelki Berlina usiłują dogonić swoje rywalki paryskie, czy warszawskie. Szczęśliwie? Do pewnego stopnia, tak, to jest nie bez pewnego plusu w porównaniu z przeszłością.

Wysportowane, wygimnastykowane pannice niemieckie osiągnęły wymarzoną smukłą sylwetkę, szkoda tylko, że w szczegółach fizycznych, w poruszeniu, odezwaniu niema slawionego Anmuth'u, niestety, tego wyhodować nie można w atmosferze piwa i wieprzowego kotleta.

Ten niesłychany brak wdzięku, polotu i artyzmu specjalnie uwydatnia się w widowiskach berlińskich.

Mówimy tutaj przedewszystkiem o widowiskach popularnych i licznie uczęszczanych, jak np. Grossschauspielertheater. Publiczność zimna, niema. Coś dopiero budzi się w samym nastroju, gdy padnie jakiś żart niedwuznaczny całkowicie w swojej dwuznaczności. Do specjalnie sympatycznych kawałów należy naprzykład kopnięcie nie w plecy. Po takim przeboju publiczność spazmatycznie zanosi się od śmiechu. Tyle o radości życia. Publiczność berlińska ulega równie łatwo nastrojom romantycznym i sentymentalnym. Wystarczy, by na scenie ukazał się żołnierz lub grupa żołnierzy w marszu paradnym. Wówczas tysiące dłoni gorączkowo bije brawo, bije długo bez końca.

Przerwy między aktami, czy odsłonami też mają swoją melodję. Szelest papierów z których wnętrza wypływają na świat pełne uroku „würstchen". jaja na twardo. Panowie zwartą ławą maszerują na piwo.

J. Drzewiecki.

KRONIKA MUZYCZNA

Jury, które powołało Min. W. R. i O. P. zebrało się w ubiegłą niedzielę, by przedstawić Panu Ministrowi kandydata do Państwowej nagrody muzycznej. Do składu jury ministerstwo powołało profesorów uniwersytetu pp. prof. Jachimeckiego i dra. Chybińskiego, stowarzyszenie kompozytorów zaś wyznaczyło ze swej strony pp. Maszyńskiego, Kazurę, Rytla i dyr. Filharmonji Romana Chojnackiego. Głosowało sześciu członków jury, gdyż prof. Chybiński nie zjawił się. W finalnem głosowaniu oddano tylko pięć głosów. Większością jednego głosu przyznano nagrodę Karolowi Szymanowskiemu za koncert skrzypcowy.

* * *

W Paryżu grał 7-go lutego znakomity pianista Ignacy Friedman.

* * *

Wanda Landowska daje koncert w sali Pleyela 21-go b. m.

* * *

W Berlinie grał z powodzeniem pianista Mieczysław Horszowski.

* * *

W Paryżu istnieje prywatna opera rosyjska. Ciekawe są poglądy krytyki paryskiej. O ostatniej premjerze („Książę Igor" Borodina i „Car Saltan" Rymskiego-Korsakowa) prasa odzywa się ironicznie. Chwaląc wysiłek dyrektorki opery — znanej śpiewaczki Kuznecowowej — krytyka twierdzi, że przedstawienia te nadawałyby się raczej do Musik-hall'ów. Tam entuzjazmowałyby publiczność, która lubi bajki i cuda. O dekoracjach malarzy, Korowina i Bilibina, krytyka mówi, że odznaczają się przepychem... barbarzyńskim.

* * *

W Berlinie zmarł przed paru dniami słynny dyrygent chórów Siegfried Ochs. Był on założycielem chóru filharmonijnego. Zaprowadził w swym zespole niesłychany rygor, tak, że znana była jego „göttliche Grobbheit". Był pierwszym dyrygentem, który odważył się wykonywać wielkie dzieła oratoryjne Bacha. Między innemi pierwszy raz w 1895 r. śpiewano w Berlinie, pod jego dyrekcją wielką Mszę h-moll. Chór filharmonijny zasłynął w całym świecie ze swych świetnych interpretacyj dzieł wielkich mistrzów i był wzorem dla wielu późniejszych stowarzyszeń chóralnych.

* * *

Jury Międzynarodowego Stowarzyszenia Popierania Współczesnej Twórczości, zebrało się w Genewie dla wybrania dzieł przeznaczonych do grania na festiwalu tegorocznym, który odbędzie się w Genewie w początkach kwietnia. W skład jury weszli: Ansermet (Szwajcarja), Pijper (Holandja), Ravel (Francja), Sirola (Jugosławja) i Tiessen (Niemcy). Jak widzimy Polska nie jest reprezentowana. Jeżeli wynikają ciągłe spory na tle nieuwzględnienia naszych żądań, to winę ponosi w dużej mierze mała ruchliwość sekcji polskiej. Jest to zresztą wynikiem błędów popełnionych przy samem zakładaniu tej sekcji. Jak to zwykle u nas w takich razach bywa na kierownicze stanowiska dostali się ludzie, którzy mogli mało czasu poświęcić sprawom sekcji, natomiast odsunięto tych, którzy rzetelnie chcieli pracować. Rezultat jest ten, że rzadko udaje się nam wprowadzić do programu dzieła polskie i nieczęsto bywamy reprezentowani w jury. Należałoby jednak działalność sekcji ożywić nieco. Stowarzyszenie bowiem odgrywa wielką rolę w europejskim ruchu muzycznym. Całkowitej listy dzieł, przeznaczonych do grania na tegorocznym festivalu jeszcze nie znamy Wiadomo nam tylko, że z dzieł polskich tylko jedno będzie grane: kwartet Jerzego Fitelberga. Natomiast z dzieł francuskich wybrano cztery: Maurycego Delage'a — Haï Kais na śpiew z towarzyszeniem instrumentów. Marcelego Delannoy Le Fou de la dame na głos z orkiestrą, Manuela Rosenthala sonatę na dwoje skrzypiec i fortepian i Mikołaja Nabokoffa Cantique à la Vierge.

St. Z.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

ALEKSANDER MICHAŁOWSKI PRZY FORTEPIANIE

Opowiadają sobie teraz młodzi pianiści w Warszawie, że Aleksander Michałowski, odrobiwszy wszystkie lekcje i zajęcia szkolne, codzień wieczorem około godziny jedenastej zaczyna swą pracę dla siebie: To jest, że jeszcze raz szlifuje, udoskonala, ulepsza wykonanie obu koncertów Chopin'a (e-moll i f-moll), z któremi ma wystąpić na swym jubileuszowym koncercie.

Niejeden laik, czy młody adept sztuki fortepianowej sądzi zapewne, iż pilność taka ze strony doświadczonego mistrza trąci już może dziwactwem.

W istocie, — czegoż nowego może chcieć Michałowski od tych koncertów, oraz od sposobu, w jaki wykonywał je tyle już razy przez tyle tyle lat? Więcej, niż przed półwiekiem wykonaniem koncertów tych zwyciężał na estradzie, a przecież, jako młoda sława wschodził w warunkach nader trudnych pośród konstelacji prześwietnych ówczesnych pianistów, tak bliskich jeszcze niezapomnianego chyba nigdy uroku pianistowskiego Chopin'a, Liszta i Mendelsohna.

Przez lat sześćdziesiąt, — sądzić tak będzie niedoświadczony uczeń, — miał chyba Michałowski dosyć czasu, by poznać wszystkie tajniki obu tych kompozycyj. Jeżeli więc tu i ówdzie zatarł się jakiś trel, czy przybladł bieglik, czy też rozluźniła się spoistość tej lub owej figury, — to cóż wielkiego? Mistrz weźmie na swój warsztat owe trele, biegliki i po niewielkiej pracy znów cała kompozycja błyszczeć będzie dawnym blaskiem wykonania.

Kto poznał głębiej istotę sztuki odtwórczej, rozumie, iż nie byłoby w tem żadnej przesady, gdyby istotnie po sześćdziesięciu latach pracy, teraz znów od początku niejako przygotowywał się mistrz do nowego występu. Bo przecież żaden występ nie jest powtórzeniem poprzedniego, lecz zawsze krokiem dalszym, czynionym naprzód z dziedziny jednej doskonałości ku nowej jeszcze dalszej. Wszystko więc jedno, czy po czterdziestu, czy po czterech tysiącach występów: Sam rozwój rzeczy prowadzi człowieka, narzucając mu wciąż nowe pęta coraz delikatniejszej i wyższej doskonałości.

Cóż zatem dziwnego, że sędziwy mistrz, uporawszy się z wszystkiemi zajęciami dnia, późnym wieczorem zasiada do pracy nad sobą? Czyż nie powinien sprawdzić szczegółowo całego mechanizmu palców? Palce te nie straciły nic jeszcze ze swej biegłości. Są wyrównane w gamach sypkie w legatach, — a jak wiadomo legato fortepianowe ma całą swoją filozofię, odmienną zgoła od innych instrumentów, — spojone i płynne.

Tak samo sprawdzać trzeba mechanizm przegubów, technikę podwójnych tonów, wreszcie rzut ręki w akordzie, rzut, który wydobyć ma z instrumentu całe brzmienie, nie dając jednak przy tem żadnego tarcia, t. j. odgłosu irchy płaszczącej się zbyt nagle na metalowych strunach.

Praca nad aparatem tym wymaga niebywałej dokładności: Zagłębienie rzutu akordowego o setną czy tysiączną sekundy wcześniejsze, lub powolniejsze zmieni przecie całą barwę akordu. Płaszczenie się poduszki palca na trąconym klawiszu śpieszniejsze, czy też powolniejsze zgęści, lub też rozrzedzi ton, przerywając właściwy rysunek melodji.

Więc praca wirtuoza zawsze ta sama, poświęcona tym samym celom mechaniki?

Nic podobnego! Praca ciągle odmienna, od poprzedniej różna: Czego innego bowiem szukał na klawiaturze trzydziestoletni Michałowski, a czego innego szuka dziś mistrz sędziwy. Musi więc technikę swą zgrywać ustawicznie, temperować, dostrajać, by była właściwym wyrazem ostatnich jego celów duchowych. Musi więc technikę ową wciąż reformować.

Pamiętać przy tem musi mistrz Michałowski, po sześćdziesięciu latach na nowo opracowujący w swym pokoju muzycznym oba koncerty Chopina, iż pewna suma wirtuozowskiej gotowości spadnie, strąci się niejako, odejdzie na rachunek wzruszenia, — w obliczu tłumu.

Ów tłum, — choćby to byli najżyczliwsi słuchacze, — stanowi jakoby zbiorowe oblicze nieodwołalnego przeznaczenia. Albowiem wszyscy ci sami ludzie nie zejdą się już nigdy po raz drugi w tym właśnie usposobieniu i czasie.

Czyli, — i tu może dotykamy istoty sztuki wirtuozowskiej, — iż cała sprawa tego spotkania jest jedyna, niepowrotna, niepowtarzalna. Artyści innych fachów, pisarze, malarze, kompozytorzy mogą zatrzymać, powtórzyć, czy też odwrócić czas swego tworzenia. Wirtuoz zapisuje niepowrotnie wstęgę swego czasu w momencie, gdy się ona przesuwa. Wyznaczone rytmy kompozycji nie mogą doznać żadnej przerwy: One to właśnie przecie, ich miara nieodwołalna stanowi o stworzeniu najpiękniejszej iluzji: Iluzji absolutnego trwania w rozpoczętem i do właściwych końców prowadzonem przemijaniu granego utworu.

Tak więc gra wirtuoza obliczona być musi na, — że się tak wyrazimy, — nieodwołalną wieczność utworu, z którego ani jedno drgnienie nie może już powtórzyć się, czy jeszcze raz zawrócić z idealnego swego przemijania — w przepływ „zwykłego" czasu.

Jakże wielki wysiłek, — i cóż z niego zostaje? Nie słyszy go wirtuoz sam, skupiony nad klawiaturą, tworzący właściwą harmonję i barwy brzmień właściwych daleko od siebie niejako na przecięciu akustycznych linij pośród rozległej sali. Z twórczości tej nie zostaje grającemu nic prawie i wszystko bez reszty zabierają słuchacze.

Gdy Michałowski dziś, po tylu latach pracuje znów od nowa nad koncertami Chopin'a, które grał całe życie, gdy dziś znowu z czarno białych klawiszów nieci kurzawę tego piękna, ileż wspomina chwil, okazyj,

miast i sal różnych i jakież niezliczone tłumy ludzi, które słuchały go kiedyś. Którym już raz na zawsze oddawał z siebie wszystko na przecięciu akustycznych linij koncertowej sali?

Gdzież dzisiaj są ci ludzie, owe chwile i jakże to rozprzędły się już owe dawne wzruszenia?

Zdawałoby się, iż tu właśnie dotykamy tragizmu wokacji wirtuoza: Na daną chwilę zgromadzić, wydać z siebie wszystko — i bez śladu niejako utracić.

Sądzić tak może, kto przecenia wagę zapisanej stronicy, trwałość malowanego płótna, czy też żywotność kształtu oddanego ręką ludzką w kamieniu. Kto jednak raz zobaczył, ile wdzięku ulata zawsze ze stron, gdy miną pokolenia, wśród których stronice owe powstawały, rozumie, iż twórczość wirtuoza mniej może od innych zostawia po sobie dowodów, — lecz więcej entuzjazmu. Przenosi się ona z pokolenia na pokolenie, tworząc legendę doskonałości, niepowrotnej, nieodwołalnej i przez to właśnie bardziej jeszcze czarującej.

Nasze słowa pisane, czy barwy wyprowadzone pendzlem, czy kształt w kamieniu kuty też stracą swoją prawdę wraz z wygaśnięciem kategorji społecznej, wśród której powstawały.

Niestety, — jest to tylko sprawą czasu. Nie o to zatem chodzi, by dziełem swojem ubezpieczać swe imię w szybkim przepływie czasu. Zadanie i wysiłek równie szczytny, — by jednej chwili przemijania oddać się niepodzielnie. Mocą talentu sprawić, by zniknął czas, a w sercu słuchaczów rozprzędło się takie oto znikome, lecz w doskonałości swej wieczne zda się przemijanie utworu.

Wszyscy razem ku temu samemu zdążamy przecież ciągle w tej dziedzinie: By zwyciężać materję: Materję barw, kształtów, wyobrażeń, kamienia, wierzeń, przezwyciężać na wieki, czy też przez kilka sekund, — co w straszliwym przeciągu niewyczerpanych czasów na jedno chyba wyjdzie.

W tej oto wielkiej sztuce iluzji, w sztuce absolutnego przemijania utworu w sztuce wirtuozowskiej trwa Michałowski tak wielkim czarem najskromniejszej prostoty i zbytku wytwornego i energji i wdzięku i mocy, że trudno nie powiedzieć, gdy Mistrz po tylu latach szlifuje swoje dzieło od początku, — iż tylko wielkość pracę taką wywodzić z siebie może... Że tylko najszlachetniejsza sztuka w blaskach takiej skromności do czynu się sposobi.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

O RUSZENIU KRY NA WIŚLE I O ZMARTWYCHWSTANIU RZECZYPOSPOLITEJ

Niech w czas marca nie nosi na swych falach woda
dubasów; dla nich słońce, dla nich wicin pogoda
niech przyświeca, bo groźna pora dla żeglugi,
gdy z brzegów występują rozkiełznane strugi.

O dubiele! te groble nie pomogą na nic,
ruszy rzeka zielona z wyżłobionych granic,
ponakrywa powiaty, województw dziedziny
zaleje. Pójdą na dno bujne oziminy.

Bo oto już w derewnie fala szybko płynie,
grozi szosom kolęśnym w przerażonej gminie,
po grudach ośnieżonych jak chart szybko zmierza,
tocząc krę z pod Krakowa do stóp Sandomierza.

Już się piętrzy mur siny trzeszczącym zatorem,
waląc w przęsła dębowe zakrzepłym toporem,
i pod spław twardo bijąc w mostów kruche drzewo,
rośnie górą lodową po wiosenne niebo.

Rozprzestrzenia się fala, szaleje ulewa,
bury potop wyrasta ponad szorstkie drzewa,
podmywa miękkie miedze i rozwala dwory,
wyganiając bydlęta z wilgotnej obory.

Po piwnicach zalewa piaszczyste ziemniaki,
u progów staje młynów, wstrzymuje tartaki,
w izby wpada strzech dusznych, jak złowroga iskra —
ona rzeczpospolita, polna dziewka, Wisła.

Lecz powoli pod łukiem załamanych dłoni
i cisząc serc cierpiących, na rozległej błoni
nacicha w groźnym plusku, jak wicher, gdy płynie
nad trawioną płomieniem bezdrzewną trzebinię.

I powoli opada, jak po kropli kropla,
odsłania drzew korony na iłastych groblach,
nadzieje dając mądre, lecz od wspomnień słodsze:
pręty bazi maleńkich i witki najmłodsze.

Roman Brandstaetter.

POETA

Te myśli z nad kwitnących rabatek nasturcyj
ze wsi mojej najmilszej szczęsne i bogate,
jak grona oliwkowe winorośli twórczych,
ustom Twoim przyniosę z wiązką polnych kwiatów.

Te, może najważniejsze, o Bogu, o świecie,
i o tem, co znikome, i co jest wieczyste,
ze słowami lotnemi, jak ptaki świetliste
w Liście do przyjaciela odeślę poecie...

Te, na sercu ciążące mocno i wymownie,
co sączą w szare słowa złoty treści kruszec
i w księgach lśnią ubogich, jak płomienne głownie,
oddam bliźnim — i będzie ciszej mi i głuszej.

I będę marzył tylko na zawsze nieznane,
których nigdy nie ujmę w zdań zwarte szeregi,
które w darze od niebios, wiem, kiedyś dostanie
ktoś inny, startujący do wiecznego biegu.

Antoni Madej.

DROGA

Daleka drogo, która wiedziesz w świat,
Oto wstępuję dzisiaj na cię rad!
Niech błogosławion będzie pył przydrożny,
Oddech szerokich pól i wiatr wielmożny...

* * *

I cień od laski, co na drogę padł,
I cień ten drugi, co mi słońce skradł.
Porzucam oto dom swój ochędożny,
Powolny chęci wielkiej i przemożnej.

* * *

Błogosławione źródło, które krzepi
Wędrowca, drzewo, co go darzy snem.
Błogosławione słońce, czy jest złem.

* * *

Skwarem czy kiedy w tęcze blask rozszczepi.
Błogosławione wszystko, wszystko, wszystko —
I kres, tem więcej, gdy nie leży blisko!

Aleksander Krassowski.

KUBA KOCH

(nowela).

— Kuba! a nie pomylibyście tak menażek?

Koch okręcił się ciężko na ławie i złożył swe olbrzymie, żylaste dłonie na kolanach. Zmrużył malutkie jasne oczy. Głupowaty uśmiech rozchylił mu wargi i błysnął na białych zębach.

— Pewnie — tak. Wiecheciem czy piaskiem? Po knedlach wiecheciem — pewnie — panie sierżancie.

— Nie jestem sierżantem, tylko plutonowym. Porachuj tu — wskazał mu naszywki na ramieniu. Koch podniósł rękę, podobną do młota. Z trudem wyłączył kołkowaty palec wskazujący i mruknął:

— Jeden, — trzy, — dwa...

— Wróć!

— Jeden, dwa trzy.

— Widzisz! trzy — to znaczy plutonowy.

— Plutonowy — zgodził się Koch i machnął swą końską, gładko ogoloną głową. Czaszkę miał olbrzymią, nieskalanie równą, niby bryła ogładzonego kamienia. Niewiadomo co się w niej mieściło. Koch bynajmniej okazowym żołnierzem nie był. Umiał używać karabina o tyle, że czyścił go wspaniale, jak nikt. Rychło zresztą zaobserwowano te czyścicielskie umiłowania Kocha i dawano mu do pucowania i świechtania wszystko, co popadło. Koch nie dawał się prosić. Niejednokrotnie przerywał obiad i brał miotłę, dostrzegłszy jakiś pył koło swego łóżka. Wiecznie coś porządkował, poprawiał, urządzał.

— Hej — Koch! — ziewnął plutonowy Dudziński, — co ty tam znowu ścierasz?

Koch przyczłapał z zakasanemi rękawami i ścierką w ręce.

— Bo tam, ten ospowaty zupę wypuścił na ziemię.

— Wypuścił zupę? — zdumiał się Dudziński — a czy to musisz ścierać? a ospowaty nie może?

Koch zatrwożył się. Wzdychał i pociągał nosem, w którym świegotało powietrze. Począł przezornie rejterować, korząc się w bezradnym uśmiechu.

Ale Dudziński zawrócił go.

— Nie, bracie — musisz mi to nareszcie wytłumaczyć. Odkąd tu jesteś, wszystko się świeci. Co u djabła? nawet piec pucujesz?

Istotnie w kącie lśnił wspaniale pyszny, żelazny piec,który swe zasmolone blachy zmienił na szmelcowaną zbroję.

— No — cóż? piec — też trza wyczyścić. Obrócił się z żałością, ku stygnącej menażce z zupą.

— A w domu coś pucował?

— Garnki, podłogę, rondle, kołyskę — jak zwyczajnie wszystko.

— Kołyskę — patrzcie! Toś ty żonaty i dziecko masz. Niby jesteś mężczyzna. No — a dziecko — dawno się urodziło?

— Ja tam nie wiem — to żony dziecko.

— Oferma! — a twoje nie?

Koch huknął krótkim śmiechem.

— Jakże ma być moje, kiedy już było, jakiem się żenił.

— Acha — zamyślił się Dudziński.

— A nie zbiłeś za to żony?

— A zaco niby miałem bić? Ja jestem za mocny, żeby bić. Ona maluśka, chudziusieńka.

— To już widzę, że żona ciebie czasem poczęstuje.

— Pewnie — przyznał się Koch.

— A w cywilu, co robicie?

— Obręcze ubijam. No kotły.

Uśmiechnął się. Wyglądało to tak, jakby po każdej odpowiedzi prosił słuchacza o pobłażanie.

— Mocny to ja jestem — ino, że niema tu — puknął się w czoło.

Mówił to smętnym, stłumionym głosem. Ale nie z rozrzewnienia; zwyczajnym swoim głosem.

— Nic niema — powtórzył. — Na rozum nic nie zrobię. A co zrobię, zapomnę, panie sierżancie. Odrazu zapomnę na amen.

— No, bo ty bardzo jesteś głupi. Mówić nie umiesz, pamięci nie masz, żenisz się z dzieciatemi panienkami. Koch! ta twoja głowa nawet od parady na karku nie siedzi, bo to gomóła, nie głowa.

— O tak! — westchnął Koch. — Bardzo jestem głupi.

— A do domu chcesz iść nocować? chyba ci tam lepiej niż w koszarach?

— Pewnie! Tylko, że wyspać się, nie wyśpię. I rano potem jestem zmęczony.

— To tutaj ci lepiej?

— Eh — nie. W domu, to wrócę od roboty, wyśpię się, a dziecko w kołysce krzyczy. I gramochon nastawię — zamyślił się — tak gra! — wykrzyknął głośno.

Zatrąbiono na zbiórkę. Żołnierze przysłuchujący się w milczeniu rozmowie, zakotłowali się i z rumorem wy-

biegali na dziedziniec. Koch obejrzał się po pustej sali.. Podszedł do swoich menażek Wystygło. Przytknął menażkę do ust i głośnemi haustami, z mlaskaniem połknął zupę nie gryząc nawet ziemniaków, które przepływały mu same przez olbrzymi przełyk Poczem porozdzierał żylaste mięso i sytnie, z zadowoleniem, westchnął.

Wstąpienie do wojska wywołało przewrót w życiu Kocha Zarabiał źle, pracował ciężko w dodatku cały zarobek oddawał żonie Zawsze był głodny W żołądku burczało i świergotało od rana do wieczora W lecie pół biedy Włazil nocą do sadu pobliskiej willi i na poćmaki ogałacał jakąś śliwkę, lub przeważnie naruszał jabłoń Ale w zimie! Tyle że w domu było ciepło Dostawał węgiel zadarmo O szóstej wracał z fabryki i zabierał się do palenia Żony zwykle nie było. Dziecko darło się w kołysce, kopiąc czerwonemi nóżkami powietrze

Dziwna rzecz. Koch bardzo lubił płacz dziecka. Siadał też przy kołysce i kiwał olbrzymim łbem niby koń nad żłobem Potem dziecko uciszało się, a w pokoju robiło się tak gorąco że Koch zrzucał bluzę i koszulę Poczem łaził zadumany wokoło stołu opuszczając swe potężne ramiona i świecąc olbrzymim białym torsem. Czasem udało mu się ukraść żonie kilkadziesiąt ziemniaków i upiec w piecu Ach ten głód!

Zawsze czuł się naczczo Sąsiadki radziły zrozpaczonej żonie wysłać go do lekarza

— Od tego żarcia w głowie mu się pomieszało. Koszyk marchwi mi zjadł moiściewy! — biadała Kochowa.

Biła go zato przez cały kwadrans — ale co tam babskie bicie Koch już się najadł. Brzuch pełniusieńki, zatkany, wypełniony po brzegi.

Żona skakała z pięściami i lamentowała, a on śmiał się. Zjadł imieninową kolację na czworo. A teraz przy wojsku codzień się najadał.

Codziennie!!

Rozmaite ciury kompanijne zuchwale przystępowały do Kocha po obiedzie — Koch — wyszoruj menażkę — a piaskiem psiawiaro, bo od wody nie puści.

— Pewnie — godził się niezmiennie i objuczony menażkami podzwaniając rozgłośnie, człapał ku studni.

Próbowano go uczyć strzelać Nos sobie kolbą rozkwaszał Kule wędrowały w niebo Kroku, ani rusz, nie utrzymał. Ze zgodnego dobrze wybitego taktu obwieszczał się zawsze jego osobliwie wolny, zamyślony w sobie krok, ciężkiem kłapaniem. W końcu dano mu pokój.

Choćby dziś Wszyscy skaczą na ćwiczeniach jak zajączki, a on najedzony siedzi na łóżku, i co? — nic! Zaśmiał się po swojemu Dziś idzie do domu na noc. Trzebaby coś zanieść, ale co? Swoje zjadł wszystko. A może — myśli Koch — chce kto wiedzieć czy jeszcze co zjadł? Otóż zjadł! Porcię Pokornego, co do izby chorych poszedł i pana sierżanta Sierżant dużo dostaje jeść Więc ile dostaje pan porucznik? Pewne całą kupę menażek — im wyżej, tem więcej Generał ma tyle, że zjeść nie może Koch przymknął oczy z zachwytu. Co generał poje, to odpocznie, co odpocznie, to znowu do menażki.

Koch zagłębił się w fantastycznych marzeniach, wreszcie machnął ręką. Wieczorem przyodział się w za- krótki nieco płaszcz i wybrał się do żony. W drzwiach spotkał grubego kaprala Jasnocha.

— O! Koch! — krzyknął Jasnoch triumfalnie. — A dokąd?

Koch siarknął nosem i uśmiechnął się błagalnie. Jasnoch zmarszczył się.

— Odpowiadać! — pan kapral pytał — O! jak się wystrychował. — Potrącił nogą kawał wychylającej się u buta Kocha szmaty, jakiejś niepewnej barwy Żołnierze odrazu zgrupowali się wokoło, wietrząc widowisko

— On do żony idzie — objaśnił jeden usłużnie.

— Stój na baczność — krzyknął znowu Jasnoch. Koch przeraził się nie na żarty Nikogo się tak nie bał, jak kaprala Jasnocha Żołnierze prostowali mu teraz pięściami kolana, obciągając wymięty płaszcz i klepali po czapce, póki nie wpadła na uszy Kulił się z lęku, ściągał grube jak konary ramiona Z pod daszka ujrzał niewyraźnie, że pan kapral wyciąga rękę i wciska mu czapkę jeszcze głębiej. Miał teraz na głowie kaptur, zasłaniający świat całkowicie. Usiłował ją ściągnąć, lecz znalazł się w takim tłoku że nie mógł się ruszyć. Grad uderzeń posypał mu się na głowę Ktoś kopnął go boleśnie okutym butem Czyjeś palce chwyciły go za nos Jakaś szorstka łapa manewrowała po karku. Koch kulił się zniżał, uderzył głową o ramę okienną, krzyczał nie mogąc przekrzyczeć wrzasku radości, który go zagłuszał i przygnębiał Wreszcie wydał z siebie taki potężny pisk, że żołnierze na chwilę znieruchomieli Nagle Koch rozkrzyżował ramiona i ciężkim zamachem, zawinął pięściami Prawa potrąciła o coś miękkiego, lewa plasnęła w coś dwukrotnie Równocześnie wrzask boleści przyprowadził go do przytomności. Zrzucił czapkę. Był blady, włosy miał zmierzwione. Małe oczy świeciły głupią, wilczą dzikością. Tkwił w nich naiwny spokój nieświadomego okrucieństwa. Żołnierze cofnęli się Jasnoch nie patrzył mu w oczy. Śmiał się z żołnierza, który mył sobie ociekający krwią nos i z drugiego, którego żołnierze podnosili z ziemi. Koch zdziwił się. Więc ich także bili — to niema co lamentować Poszedł na dziedziniec, przecierając oczy, bo widział wciąż przed sobą Jasnocha. Spotkał Dudzińskiego.

— Cóżeś ty taki rozgrzany?

Kocha zaśmiał się rechotliwie nieprzyjemnie. Dudziński, aż się cofnął.

— A bo co? — śmieje się oferma, jak cała kompanja.

— Ej! — zatroskał się naraz Koch.

Krzywiąc się niechętnie, drapał się w głowę Nagle sponurzał jak noc Udał się do kuchni. Resztki zupy nie smakowały mu. Potem schował się w stajni Po dziedzińcu rozlegało się rozmaitemi głosami. Koch! — Koch! Koch!

Wrócił do sali. — Nareszcie! — zauważył strofując Jasnoch Ze wszech stron podchodzili żołnierze i składali mu brudne menażki. Wracali na tapczany. Tam rozwalali się szeroko i gwarzyli, kręcąc papierosy.

A Koch położył na stos menażek i dumał Powiódł oczami po leżących żołnierzach Schował menażki do plecaka Przy drzwiach zawrócił Powyjmował menażki, i ustawił w wieżę jedna na drugiej, i — jak nie kopnie w stół! Menażki rozleciały się po sali, dzwoniąc o sufit, ściany i podłogę. Wrzask protestu buchnął.

Ale Koch wyszedł spokojnie, kierując się ku bramie. Wpadł w doskonały humor. Krew, płynęła szybciej w żyłach. Nawet nogi nie łamały się w kolanach, nie padały bezwładnemi podeszwami na bruk, lecz defilowały zuchwale, słuchając rytmicznej komendy głośno walącego pulsu. — Głupi to jestem — rozmyśliwał radośnie — ale menażki mało oknem nie wyleciały. Roześmiał się i przystanął — żeby tak Jasnocha w brzuch, teżby oknem wyleciał. Ruszył dalej. Jeszcze wszyscy poczują, co to Koch.

— Psiachmać — raz kozie śmierć! — zawołał. Wstąpił do jakiejś restauracji i zuchwale zażądał wódki. Jeden, dwa, trzy — dużo kieliszków. Szczypnął w ramię jakąś żydówkę i uparł się że zagra na fortepianie, lepiej od tego „czarnego kozła" w okularach. Za wódkę nie zapłacił, psiachmać. Następującego natarczywie żyda, wepchnął z powrotem za kantor takim impetem, że żyd plecami o nierówną blachę wyrżnął i nosem, kufel piwa rozlał.

Ruszył środkiem drogi. Nie ustępował nikomu. Dzikiemi oczami wypatrywał wroga w ciemnej ulicy. Z nadmiaru wigoru, młócił powietrze pięściami tak długo, póki się nie uderzył o drzewo na skwerze. Nagle ryknął przeraźliwie, jak syrena i począł zawodzić rzewnie jedyną arję, którą umiał, walca z Wesołej wdówki. Nucił coraz tkliwiej, ale to właśnie nastrajało go wojowniczo. W pewnej chwili natknął się na patrol. Po oglądnięciu przepustki, kazali mu iść spokojnie do domu i Koch uciszył się nieco. Doszedł do domu. Ledwie ujrzał swą bramę, rzucił się do wściekłego tarmoszenia klamką.

— Czy to ty Ignac? — ozwał się w górze głos żony.

— Właśnie, że nie Ignac — ryknął Koch — puszczaj!

— Puszczę Kubciu — puszczę — nie krzycz, bo pobudzisz. Koch znalazł się po chwili u siebie.

Żona stała w narzuconym na koszulę płaszczu, świecąc Kochowi w twarz, lampą.

— Upiłeś się.

Koch cofnął się o krok i jednem machnięciem dłoni wytrącił jej lampę. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Płomień buchnął z rozlanej nafty i oświecił na chwilę olbrzymią postać Kocha i cofającą się z lękiem kobietę.

— Psiachmać — krzyczał w ciemności. — Dosyć Ignaca Lachmana Kto tu pan? — zatłukę! Szukał żony, roztrącając z hałasem sprzęty. Potknął się i upadł na łóżko.

— Jeść! — wrzasnął — dużo jeść! Jestem pan generał! Baczność! psiachmać — menażki myć? — menażki?? — przestań beczeć — ja wam umyję menażki!! — zakończył groźnie. Rzucił się żarłocznie na chleb przyniesiony przez struchlałą małżonkę. Zżuł kilka olbrzymich kęsów. Rzucił chlebem o ziemię. W tej chwili rozległ się płacz zbudzonego dziecka. Koch zwlókł się z łóżka i namacawszy kołyskę usiadł przed nią na podłodze i począł się przysłuchiwać łkającemu dziecku. Żona jego nieco oprzytomniała. Zapaliła świecę i patrzyła złym, nienawistnym wzrokiem na szerokie plecy zgarbionego Kocha Nie pojmowała tej przemiany. szalał do reszty. Przez dwa lata Ignac mu nie zawadzał, aż teraz.

— Jakieś ty taki wrzasnęła twardo — to ja tu nie mam co robić. Idę sobie.

— A idź — warknął ucichły już zupełnie Koch. Dziecko usypiało w kołysce. Koch rozczapierzył szeroko nogi i wkulił się w siebie, patrząc w okno, za którem polatywał śnieg.

Nad ranem przywlókł się do koszar. Zaraportowano o jego spóźnieniu się. Koch obraził się na dowódcę warty i rzucił w niego miotłą. Wołając „koniec z menażkami i dyscypliną". Połamał taboret i dopiero w areszcie uspokoił się. Nadszedł czas rozmyślań. Dziobaty Włodka, zamknięty za kradzież wciągał go do rozmowy.

— Isz — ty głupi! z pięściami na rozum idzie. A jak ty rozumowi nos rozkwasisz? — widać poniesło cię — dodał z współczuciem.

— Poniesło — westchnął Koch.

— Jakieś się głupim narodził to — oho, bracie! żebyś sto lat myślał, to już tym swoim łbem nic nie wymyślisz. A miałeś właśnie mądrzeć bo cię twój stary tak po głowie głasnął, że ci reszta oleju wyciekła. Łeb ci urósł od tego czasu a rozum nie. Głowa jak dynia a rozum jak ziarnko.

Koch chciał się gniewać, ale jakoś moc go odeszła. Zresztą Włodko mówił prawdę. Zaco go bić?

— A bo — psiachmać! ten Ignac — czego łazi do mnie?

— Do twojej żony — nie do ciebie — poprawił Włodko. Wielkie rzeczy! też zmartwienie — ja też chodzę do cudzej żony i nie gryzę się. Świat już taki jest i fertyg. Znalazł się taki co go chce poprawić — kotlarz Koch z miasta Łodzi — o nagła cholera...

Umilkli obaj. Z dziedzińca dochodziły odgłosy żołnierskich kroków.

— Jeść mi się chce — zauważył Koch.

— No, to poczekasz. Śniadania bratku niema, a na obiad tyle, co wróblowi. Mnie już na pasku dziurek nie stało Ale ja jutro wychodzę. Powoli odjem się. A ty dziesięć dni. Też minie. Tylko nudno i ciągle jeść się chce. Koch przeraził się, Jakto — tyle dni? dużo? i jeść nie dają? Zaklął głośno. Rozbawiony Włodko zaśmiał się.

— Słyszysz Koch? Na obiad idą. — Istotnie schody koszar drżały monotonnym krokiem. Koch wyjrzał przez okno. Uczucie morderczego głodu wstrząsnęło nim potężnie. Zakrwionemi oczami rozglądał się szybko po izbie. Zaczął walić pięściami w drzwi.

— Jeść!! — psiachmać! — zabiję — jeść!! Skoczył do okienka, wybił szybkę i jego skrwawiona pięść wyjrzała ku uciesze żołnierzy na zewnątrz. Włodko siedział przerażony na piecu i dłubał w nosie, nie spuszczając Kocha z oczu.

W rezultacie dostał nowych dziesięć dni z postem przez pierwsze dwa dni „dla nauki".

Wreszcie dwadzieścia ciężkich dni minęło. Koch wyszedł na wolność Wprost z kozy dostał się do badania lekarskiego, a już na trzeci dzień zwolniono go całkiem. Koch wracał do domu. Wychudł. dostał sinawych plamek na twarzy, zniedołężniał, obchodził starannie każdego przechodnia. Wyglądał na człowieka, który ze strachem wymija dziesiątki zasadzek.

Na ulicy, ni z tego ni z owego, spotkał Ignaca Lachmanna. Chwycił go za rękę i począł bełkotać żebraczo.

— Chodź Ignac — ze mną. Sam nie pójdę. Boję się. — Strzelał spokorniałemi oczkami i nachylał ku Ignacowi wymizerowany, ogolony łeb.

Lachmann obserwował go badawczo i w zamyśleniu postukiwał laseczką.

— Ty Ignac mnie głupiemu zapomnij i poprostu przebacz. Zgłupiałem. Ja już bić nie będę nikogo. Z pięściami na rozum nie pójdę. A gdzież ja pójdę po robocie. Żona musi być w domu — i malowana kołyska. A kto oskrobie im ziemniaki? a gdzie ja będę palił? Chodź Ignac.

Wrócili do domu. Lachmann zniknął w pokoju a Koch, ze strachem przystanął w kuchni. Po niezrozumiałem mamrotaniu Lachmanna, ozwał się wesoły śmiech Kochowej. Śmieją się! Koch z radości sam sobie język pokazał i klepnął się potężnie po udach. Podszedł na palcach do drzwi i poprosił, by mu wysunęli kołyskę z dzieckiem do kuchni. Zamknął się, ogień w piecu rozpalił i rozwaliwszy się na łóżku, poruszał nogą kołyskę. Teraz dopiero poczuł się bezpiecznym. Czegóż jeszcze trzeba? Jakoś się ułożyło. Pójdzie do roboty. Buch, młotem — buch, buch! buch! dobra! odstawić! drugi — dawaj go tu!

Łagodne ciepło pieca, rozmarzało go. Dziecko pogadywało coć do zadartych nóżek.

Koch przewiesił głowę przez poręcz łóżka, mościł się przez chwilę, wreszcie chrapnął raz i drugi i zasnął.

Stefan Balicki.

NA MARGINESIE

SZYMON ASKENAZY wydał nakładem drukarni Wł. Łazarskiego I-szy tom wielkiej swej pracy, publikowanej pierwszy raz dwadzieścia lat temu p. t. Łukasiński.

Obecne wydanie znakomity historyk rozszerzył znacznie i uzupełnił nowym, bogatym materjałem historycznym, do którego przed wojną nie można było dotrzeć. Czyta się dzieło to, — zwłaszcza, po odzyskaniu niepodległości, — z najgłębszem wzruszeniem i z pietyzmem dla surowej wspaniałej postaci nieśmiertelnego majora piechoty polskiej, Łukasińskiego.

Kompozycja dzieła zadziwia pięknością języka,— jaki udało się zachować historykowi, mimo całego balastu formalno-historycznego, — oraz pięknym prawdziwie artystycznym planem konstrukcji tego studjum. Niejeden historyk, niejeden pisarz znajdzie tu znakomity wzór tego, co nazywamy rozwojem dynamiki opisu oraz celową kompozycję całości.

Rzecz wydano na dobrym papierze, pięknemi czcionkami, niestety z nieszczególną korektą, co w tak starannem wydawnictwie przytrafiać się nie powinno.

Spoglądając na pierwszą stronnicę, za stroną tytułową, rzucamy okiem mimowoli na długi spis prac „tegoż autora" Spis doprawdy wspaniały, zawierający od Studjów Historyczno-Krytycznych (rok 1894) aż po „Napoleona i Polskę" dwadzieścia kilka wielkich prac, z których większa część, jak się okazuje ze spisu — jest wyczerpana.

Czyżby w dziedzinie prac historycznych działo się na rynku wydawniczym to samo, co w literaturze pięknej? Że prace, że dzieła potrzebne, aktualne są wyczerpane, nowych zaś wydań nie drukuje się, ponieważ nie dają tyle szybkiego zysku co pierwsze wydania nowości?!?

* * *

PRZEGLĄD PIECHOTY (miesięcznik, wydawany przez Departament Piechoty, Sekcję Piechoty Tow. Wiedzy Wojsk. i Wojsk. Instytut Naukowo-Wydawniczy) rozpoczął w styczniu drugi rok swego istnienia. Miesięcznik ten redagowany nader zajmująco przynosi omówienia całego szeregu żywotnych spraw w formie, która, prócz fachowców dostępna jest także b. żołnierzom bojów piechoty, dziś rezerwistom.

W ostatnim numerze wybijają się na czoło artykuły ogólniejszego znaczenia, jak „W obronie królowej broni" (o poziom rekrutów wcielanych do kompanji strzeleckiej) por. E. W. Ginalskiego, „W obronie historji, jako nauczyciela" (zasadniczy, świetnie ujęty pogląd mjra Dypl. St. Rutkowskiego), wreszcie „Wychowanie Żołnierskie w piechocie" mjra Dypl. M. Tasieckiego.

* * *

PO 50 LATACH wydana po raz drugi w Ossolineum Królowa Bona, Kazimierza Chłędowskiego nie należy do najlepszych prac wytwornego kronikarza kultury, za jakiego może uchodzić bezspornie Chłędowski. Autor nie rozstrzygnął jeszcze wyraźnie w tej pracy czy opisuje dzieje Bony, czy też przedstawia je w „znowelizowanej" formie. Dzięki takiemu brakowi decyzji wątek rwie się ustawicznie, stanowisko autora ustępuje raz za razem rzekomemu stanowisku osób działających. Na chaotyczności ujęcia traci oczywiście nietylko jasność wykładu, lecz nawet formalna wartość literacka dzieła.

* * *

NAKŁADEM FISZERA I MAJEWSKIEGO (Księgarnia Uniwersytecka w Poznaniu) z przedmową Stefana Papee'go ukazał się wybór Poezyj Romana Wilkanowicza, poety wielkopolskiego. Z zebranych wierszy oraz z przedmowy okazuje się, że R. Wilkanowicz nie jest mistrzem najwyższych lotów, że jednak w ciężkich czasach niewoli odegrał, jako śmiały odważny piewca miłości Ojczyzny zaszczytną rolę w Poznańskiem.

Wydawnictwa, jak powyższe spełniają ważną rolę, nietylko kompletując całokształt dorobku poetyckiego, lecz także przyczyniając się do podkreślenia tak cennych a tak mało u nas uznawanych regjonalnych pierwiastków piśmiennictwa.

* * *

KSIĘGA PAMIĄTKOWA MIEJSKIEJ BIBLJOTEKI PUBLICZNEJ W ŁODZI (1917-1927), na którą prócz nagrodzonych ex librisów tej bibljoteki i odnośnych ilustracyj składają się prace działaczy zasłużonych około dzieła tej bibljoteki z pracą Przecława Smolika na czele — jest wzruszającym dowodem te-

go, co może zrobić, sprawić śmiała inicjatywa kulturalna w najbardziej nawet niesprzyjających warunkach. Bibljotekę publiczną w Łodzi ufundowała — jak czytamy w pamiątkowej księdze garstka inteligencji zawodowej „wśród szczęku oręża, głodu i nędzy".

Dziś bibljoteka posiada już kilkadziesiąt tysięcy tomów i przyczynia się znacznie do podniesienia czytelnictwa w Łodzi.

W linjach kierunkowych, jakiemi powodowano się przy rozbudowie dzieła tej bibljoteki spotykamy coprawda tezy, z któremi trudno się nam pogodzić. Oto wedle artykułu p. J. Augustyniaka, — postanowiono, że byłoby rzeczą zbędną gromadzić literaturę beletrystyczną i popularno-naukową... Ustalono gromadzić książki li tylko treści naukowej o poziomie wyższym, czyniąc ustępstwo na rzecz literatury, potrzebnej starszej młodzieży licznych szkół średnich pół miljonowego miasta i samoukom — idącym już samodzielnie".

Wynikałoby z powyższego, że pierwszy i najprymitywniejszy głód lektury, jaki zaspakaja najszersza masa świeżych mas czytelniczych właśnie zapomocą beletrystyki nie został w planie prowadzenia bibljoteki uwzględniony? A przecież owe masy szerokie to pierwszy i najwdzięczniejszy na przyszłość element czytelniczy!

* * *

Société des Gens de Lettres de France (Związek Zaw. Pisarzy francuskich) urządza b. roku w czerwcu zjazd pisarzów wszystkich krajów Europy ze współudziałem pisarzów Ameryki Północnej, Południowej i Japonji w sprawie wyników ostatniej konferencji odbytej w Rzymie oraz wzorowego kontraktu wreszcie międzynarodowej organizacji pisarzów wszystkich krajów.

Należy oczekiwać, że tak czujny w tych sprawach Związek Zaw. w Warszawie przygotuje się specjalnie do projektowanej konferencji paryskiej. Na zaproszeniach Zw. Zaw. Pisarzy Francuskich widnieje podpis akademika des Estaunier.

jkb.

Z ŻYCIA KULTURALNEGO WŁOCH

Restauracja teatru S. Carlo w Neapolu.

Najdonioślejszem wydarzeniem w życiu teatralnem Włoch w obecnej chwili jest bezsprzecznie przerobienie i odrestaurowanie słynnego teatru S. Carlo w Neapolu.

Piękny ten teatr o wiekowych tradycjach nie odpowiadał już oddawna wymaganiom nowoczesnym wielkiej sceny; w słusznem więc zrozumieniu tych potrzeb dokonano w ciągu ostatnich miesięcy wiele zasadniczych zmian i na szesnastego bieżącego miesiąca zapowiedziane jest uroczyste otwarcie tego majestatycznego teatru!

Roboty dokonane w całym teatrze, zwłaszcza zaś radykalne zmiany, poczynione na scenie świadczą wymownie o niesłychanej wprost energji i sprężystości czynników miarodajnych, co nie jest zresztą rzadkością w życiu obecnych Włoch.

Wedle relacji rzeczoznawców staje dziś S. Carlo — ta wiekowa siedziba sztuki — na wysokości swoich szczytnych zadań zajmując pod względem urządzeń technicznych jedno z pierwszych miejsc wśród teatrów europejskich.

Przedewszystkiem powiększono znacznie scenę tak, że wynosi obecnie 35 metrów długości i 23 m. głębokości. Rozmiary te stawiają scenę S. Carlo wśród największych scen świata!

Pozatem znaczne rozszerzenie przestrzeni poza sceną i wprowadzenie szeregu najnowszych urządzeń technicznych pozwala na liczne i szybkie zmiany dekoracji.

W całej części zakulisowej wprowadzono pierwszorzędny komfort i wygody. W garderobach aktorów obok istniejących u nas już oddawna urządzeń higienicznych, jak bieżąca woda, zimna i ciepła, ustawiono aparaty radjowe, „altoparlante", które dają artyście możność śledzenia w garderobie toku akcji na scenie.

Wprowadzono urządzenia świetlne najdoskonalsze, jest więc możność osiągania wszelkich efektów świetlnych, zmian oświetlenia nieba, błyskawic, tęczy, chmur pędzących, to czerwieniących się od zachodzącego słońca lub brzasku dnia, to znów blednących. Obok oczywiście efektów często spotykanych, jak śnieg, deszcz, pioruny, łuna ognia i t. d. najciekawsze jest złudzenie płynącego strumyka, mieniącego się światłami.

Równocześnie odnowiono też pięknie widownię zdobiąc ją nowemi obiciami z czerwonego brokatu. Na poszczególnych piętrach, złożonych z samych lóż, znajduje się na każdym korytarzu telefon do użytku publiczności.

Szkoda tylko, że telefony neapolitańskie tak źle funkcjonują!

A kiedyż to u nas będzie możność zatelefonowania z teatru w ważnej nieraz sprawie?

Narazie np. „Teatr Nowy" w Salach Redutowych telefonu wogóle nie posiada!

Uczczenie pamięci Marca Pragi.

Teatry włoskie z właściwym Włochom kultem dla swoich „Wielkich" uczciły uroczyście zasługi wielkiego swego Autora, Krytyka i Organizatora Związku autorów włoskich.

W dniu pogrzebu Marca Pragi — jak już wiemy — teatry medjolańskie zawiesiły przedstawienia na znak żałoby.

W parę zaś dni później uczczono pamięć Pragi wznowieniem jego sztuk.

I tak „Compagnia Niccodemi" wystawiła „La moglie ideale", uchodzącą za arcydzieło Pragi. Rolę tytułową kreowała świetna Vera Vergani, zaś sam Niccodemi uczcił zmarłego, znakomitego Kolegę krótkiem przemówieniem, a publiczność wstając, dwuminutowem milczeniem oddała hołd wielkiemu Pisarzowi.

Podobnie postąpiły niemal wszystkie teatry w Medjolanie i w innych miastach włoskich.

Teatry włoskie.

Teatry włoskie uciekają się w obecnym sezonie przeważnie do wznowień sztuk dawniejszych.

Po znacznem powodzeniu sztuki Corradini'ego: „Vie del Oceano", Sabbatino Lopeza „La signora Ro-

sa", kilku sztuk Sem Benelli'ego z „Ucztą Szyderców" na czele, wystawiono obecnie z powodzeniem dramat senatora Corradini'ego „Charlotta Corday". Sztuka, której motywem jest gorąca miłość ojczyzny, grana po raz pierwszy w roku 1906 w Neapolu i zakazana potem przez ówczesną partję rządową, doznała obecnie wprost entuzjastycznego przyjęcia we Florencji. Szczególnie ciekawie ujęta postać Marata, interpretowana świetnie przez Ernesto Sabbatini wywołała zachwyt najwyższy.

* * *

Znany autor medjolański, Gino Rocca wystąpił ostatnio z dwoma utworami scenicznemi. W Medjolanie wystawiła „Compagna Niccodemi'ego najnowszą jego sztukę „Il terzo amante", w której autor maluje w sposób plastyczny środowisko pensjonatowe wielkomiejskie, wśród którego przewijają się najdziwaczniejsze typy. Drugą sztukę tego samego autora wystawiła w Rzymie Tatjana Pawłowa. Sztuka ta pod tytułem „Il gladiatore morente" („Umierający gladjator") zajmuje się historją murzyna-boksera, który umiera z udręki i z tęsknoty za swą rasą i swą ojczyzną.

Podobny temat opracował niedawno w powieści: „Io, povero negro" („Ja — biedny murzyn") Orio Vergani, jeden z najzdolniejszych i najbardziej cenionych młodych pisarzy Włoch faszystowskich Vergani bawił przed paru miesiącami w Polsce i wrażenia swe, głównie teatralno-literackie zamieścił w „Corriere della Sera", w tym najpoczytniejszym dzienniku włoskim, też poza granicami Półwyspu.

* * *

Errico Cavacchioli, naczelny redaktor teatralnego miesięcznika „Comoedia", gorący wielbiciel Polski, dobry znajomy wielu z nas z czasu jego kilkakrotnych bytności w Warszawie, skąd wyniósł jak najżywsze i najmilsze wrażenia i wspomnienia (silne wrażenie wywarła na tym estecie kobieta polska) — wystąpił przed paru dniami z ciekawą i oryginalną premjerą.

Teatr „Eden" w Medjolanie, gdzie występuje obecnie trupa, kierowana przez Sem Benelli'ego, wystawił sztukę Cavacchioli'ego, napisaną jeszcze w roku 1924 pod tytułem „La Corte dei Miracoli", dając dzisiejszej publiczności możność bezpośredniego zetknięcia się z jednym z najwybitniejszych awangardzistów w literaturze włoskiej.

„La Corte dei Miracoli" jest — podobnie jak inne utwory Cavacchioli'ego — sztuką o podkładzie poetycko-filozoficznym; w formie pięknego djalogu rozgrywa się nieco zawiła, zaplątana akcja.

Bohaterem dramatu jest hypnotyzer, zaciekły eksperymentator, Paolo Reni, dręczony w sposób straszliwy przez niezbadaną zagadkę życia W celu przeprowadzenia swych badań przekształca on życie realne w sen, chcąc w ten sposób dotrzeć do właściwej istoty życia samego.

Sztuka Cavacchioli'ego jest właściwie wizją dramatyczną, przeznaczoną raczej dla inteligentnego, myślącego czytelnika aniżeli dla przeciętnego widza teatralnego.

„Fra Gherardo" I. Pizzetti'ego.

Teratro Reale dell Opera w Rzymie (do niedawna Teatr Constanzi zwany) wystąpił z premjerą opery maestra Hildebranda Pizzetti'ego, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli najnowszej muzyki włoskiej.

„Fra Gherardo", akcja którego rozgrywa się w barwnem środowisku trzynastego stulecia, dyrygowana świetnie przez maestra Marinuzzi spotkała się z doskonałem przyjęciem u publiczności rzymskiej

Znakomicie wypadły chóry, które w tej operze odgrywają znaczną rolę.

Ildebrando Pizzeti jako prelegent.

Ildebrando Pizzeti, dyrektor Konserwatorjum w Medjolanie wygłosił w kilku miastach, zacząwszy od Florencji, odczyty o Muzyce włoskiej w dziewiętnastym wieku.

Wytłomaczywszy przyczyny, z powodu których nie rozwijała się we Włoszech należycie muzyka symfoniczna i kameralna w wieku dziewiętnastym. zajął się prelegent dramatem muzycznym zatrzymując się na czterech kompozytorach: Rossinim, Bellinim, Donizzettim i Verdim.

Najwięcej uwagi poświęcił Pizzetti osobie Verdiego, zwłaszcza zaś Bellini'ego, któremu Pizzetti poświęca już od dłuższego czasu liczne studja.

Teatr włoski, pomimo świetnej produkcji Alfieri'ego i Goldoniego nie może się właściwie równać z teatrem francuskim i angielskim, znajduje on swój prawdziwy najsilniejszy wyraz dopiero właściwie w dramacie muzycznym — zakończył swe wywody Pizzetti.

Jubileusz Artura Toscanini'ego.

W teatrze „La Scala" w Medjolanie obchodzono uroczyście jubileusz trzydziestoletniej pracy sławnego na świat cały dyrygenta, Artura Toscanini'ego. Na uroczystość wybrano operę Wagnera: „Śpiewacy Norymberscy", w której znakomity maestro debiutował swego czasu.

Fr. S.

KRONIKA ZAGRANICZNA

W lutowych numerach dzienników francuskich, ciekawsze artykuły są: w Revue de Paris — Wspomnienia hr. St. Prista z czasów Wielkiej Rewolucji z niezmiernie interesującą charakterystyką Marji Antoniny i opowiadanie Sebastjana Charletis p. t. „Ernest Laviste"; w Revue de France artykuł J Jacobi „Ekaterynburska tragedja" i szkic Ferdynanda Backa o „Miłosnych przeżyciach Schuberta"; w Revue de deux Mondes znajdujemy artykuł o Alzacji D. Vite-Guizaux i tej samej drażliwej sprawie poświęcony artykuł E. Culmanna w Revue Uniwerselle.

* * *

Zapowiadają wydanie książki André Maurois „Światy wymarzone". W skład tego tomu wejdą już

uprzednio drukowane rzeczy „Meipe" i „Ostatnie dni Pompei".

* * *

W ciągu najbliższych tygodni ukaze się na półkach księgarskich francuski przekład „Romansu Lokarna" Brunona Franka. Książka ta narobiła już w swoim czasie wiele hałasu w Niemczech, zwłaszcza, że główny bohater wieloma rysami charakteru przypomina Arystydesa Brianda.

* * *

André Berraud rozpoczął druk nowej powieści „Czternasty lipca" w dzienniku „Les Annalles".

* * *

Nowa powieść Piotra Benoit „Erromango" ukaże się na wiosnę tego roku.

* * *

Marszałek Petain zamierza opublikować „Bitwę pod Verdun".

* * *

W nowem wydaniu zbioru „Rose D'or ukazała się część „Rozmów" Claudel'a. Rozmowę p. t. „Kwadrans" poświęca autor wpływowi muzyki na psychikę słuchacza.

* * *

Ukazał się pierwszy numer wydawnictwa perjodycznego, poświęconego Barres'owi „Barresowskie kroniki". Wydawnictwo ogłasza szereg nieznanych szkiców zmarłego pisarza.

* * *

Wyszła książka Leona Daudeta „Uwagi Wygnańca", — Londyn i Flandrja.

* * *

W wydaniu Payot'a ukazał się pełny przekład Koranu.

Notatnik Victora Hugo.

Pamiętamy jeszcze niedawny spór o „Pamiętniki" Goncourt'ów, gdy oto rozpoczyna się gorąca polemika wokół dotychczas nieopublikowanych notatników V. Hugo.

Wszystkie pozostałe rękopisy przekazał wielki pisarz Bibljotece Narodowej. Większość ich była opublikowana za zgodą spadkobierców, lecz ostateczne odczytanie i rozgrupowanie pism pośmiertnych zakończone zostanie dopiero ze względu na ich nadmiar w 1931 r. Już teraz jednak spadkobiercy oświadczają, że nie wszystkie, ze względu na ich charakter ściśle osobisty, ukażą się w druku. Krytycy literaccy, pragnący zaznajomić się z tekstem notatek, nie otrzymawszy na to zgody spadkobierców, zgłosili protest na ręce kuratora Bibljoteki Narodowej.

Uroczystości gribojedowskie.

W roku bieżącym upływa sto lat od chwili tragicznego zgonu największego komedjopisarza rosyjskiego, Gribojedowa. Świat literacki w Rosji sowieckiej i na emigracji urządza uroczysty tydzień poświęcony pamięci pisarza.

W teatrach moskiewskich odegrane zostaną jego najcelniejsze komedje, ze słynną „Gorie od uma" na czele.

Nagroda za dzieło krytyczne.

Związek niemieckich wydawców i księgarzy, który posiada własną „giełdę książek" w Berlinie, postanowił począwszy od roku bieżącego przyznawać doroczną nagrodę za książkę z dziedziny krytyki literackiej.

Klabund a Coeler.

Na konkursie urządzonym przez jedno z niemieckich pism literackich zdarzył się arcyoryginalny wypadek Konkurs rozpisany został na nowelę. Nadesłano nowel bardzo wiele. O nagrodę ubiegały się pierwszorzędne pióra. Wyrok jury przyniósł sensację. Pierwsza nagroda przyznana została jakiemuś zupełnie nieznanemu autorowi Jakóbowi Coelerowi.

Alfred Doeblin, który był jednym z sędziów, pisał w motywach wyroku, że nowela ta jest dziełem talentu dużej miary, że zarówno pod względem formy jak fabuły dowodzi znakomitego pióra.

Szkopuł był w tem, że nikt nie znał Jakóba Coelera.

Dopiero niedawno po śmierci Klabunda, znaleziono w jego papierach szkic i rękopisy nagrodzonej noweli. Jakób Coeler był pseudonimem autora „Moreau".

Doeblin nie pomylił się w swym sądzie...

Niedola Alfonsa Daudet.

Alfons Daudet, od czasu głośnej ucieczki z więzienia paryskiego przebywa na wygnaniu w Belgji. Organizacje literackie i poszczególne jednostki ze świata literatury zwracały się do rządu z prośbą o ułaskawienie wielkiego wygnańca. Rząd jednak nie zgadza się na to

Ostatnio wystosowana została petycja na której widnieją podpisy Duhamela i braci Tharaud. Dobrze to świadczy o literaturze francuskiej skoro pisarze z krańcowo przeciwnego obozu politycznego stają w obronie Daudeta-monarchisty i przywódcy „Action francaise".

Pisarze polscy w Czechosłowacji.

Jedno z wydawnictw praskich wydaje w najbliższym czasie „Romans Teresy Hennert" Nałkowskiej, „Nie było nas był las" Perzyńskiego i... „Iwonkę" Germana.

„Czarne Skrzydła" w prasie niemieckiej.

Wielki cykl powieściowy J. Kaden-Bandrowskiego „Czarne Skrzydła" omawiają bardzo żywo w swych odcinkach literackich pisma niemieckie z Berliner Tageblattem na czele, który umieścił sprawozdanie z Lenory i Tadeusza p. t. Eine Epopöe des Vierten Standes. Artykuły o Czarnych Skrzydłach zamieściły już prócz Berliner Tageblatt'u, Kölnische Volkszeitung, Müsterischer Anzeiger, Nürnberg Zeitung, Hamburger Fremdenblatt i Frankfurter Zeitung... W dodatku literackim „Dichtung und Welt" do dziennika Prager Presse obszerne sprawozdanie z Czarnych Skrzydeł zamieścił red. J. Magr.

ODPOWIEDZI „GŁOSU PRAWDY“ LITERACKIEGO

Irena Szcz. Wiersz nie posiada żadnej wartości. Pisać o wielkim człowieku w niedołężnej formie, to chcieć własną nieumiejętność, czy brak talentu okupić wielkością opiewanego człowieka. Jest to rodzaj malwersacji, czy też naiwności pisarskiej.

Ludwik Fr. W-wa: Z nadesłanych jeden tylko, — dusza przedmiotów. Reszta nie odpowiada nam. Jeżeli Pan ma te rzeczy w odpisie, prosimy przestudjować. Przekona się Pan, iż wiersz wybrany posiada najwięcej wyrazu i najlepszą budowę. Te rzeczy zawsze idą w parze.

J. K. Fajsławice: Wiersz nie dla nas. Adres o który Panu chodzi, Warszawa, Chłodna 6. Obraca się Pan w tym wierszu pośród obrazów zbyt formalnych, zbyt zużytych.

Ha: Być może, iż zaszła tu omyłka. Dziękujemy za zwrócenie uwagi.

A. Ansz.: Czułostkowość i przesada. Radzimy zmienić ten sposób ujmowania rzeczy. Szukać poezji w prostocie zjawisk: W wielkiej jasności tematu. W tak zwanych rzeczach oczywistych, — najtrudniej poddających się ujęciu poetyckiemu.

Stanisław B. Równe: Nie można pisać o niczem. Skądże znów ten olbrzymi, tak bogaty zapas banału? Radzimy zaprzestać tego rodzaju pisaniny. Zacząć czytać, — wielkich poetów. Uświadomić sobie, że pisanie jest sztuką. Że może być wielką sztuką, — posłannictwem. Nadesłane przez Pana wiersze, to płody zupełnego grafomaństwa. Czyż nie szkoda czasu?

M. A.: Dziękujemy za miłe słowa. Wszystkie te modlitwy do poezji i t. d. to wciąż jeszcze oznaki niewiedzy i zupełnej nieporadności. Piszący uważa, że dobrzeby było napisać jakiś piękny wiersz i pisze wiersz o tem, że nie wie o czem pisać. Szkoda na to czasu. Trzeba sobie wyraźnie określić temat. Myśleć nad tem a nie pisać bez istotnego powodu.

Władysław Dun. Solec K.: Jest to dopiero szkic, podmalowane fragmenty całości, która nie istnieje jeszcze w pańskiem przeprowadzeniu. Cała przecież t. zw. trudność, czy sztuka pisania, — oczywiście poza samą techniką zdania, ekspresją opisu siłą patrzenia, pamięcią szczegółów i t. d., — polega na umiejętności zbudowania tematu. Rzecz bardzo trudna. Laicy mówią wtedy, właśnie wtedy gdy rzecz dobrze zbudowano, — iż to proste całkiem, gdyż odbywa się jak w życiu. Tymczasem w sztuce odbywa się jak w życiu wtedy właśnie, gdy rzecz całą najsumienniej skomponowano. Trzeba więc wybrać najpotrzebniejsze motywy, wyrzucić drugorzędne. Trzeba ustanowić harmonję motywów i ich wzajemną zależność. Wszystko to przeprowadzić musi autor tak, by czytelnik nie czuł ciężaru i mozołu kompozycji. Radzimy pomyśleć nad temi sprawami.

Judym, Kraków: Wiersz zbudowany doskonale, oczywiście pójdzie. Dochodzi Pan jednak, — wbrew naszym przewidywaniom, — na tej właśnie drodze do własnej formy. O korespondencję tego rodzaju prosimy koniecznie. Rzeczy muszą być aktualne i zwięzłe.

Sulisław K. Stryj: Z prawdziwą przykrością wrzuciliśmy te wiersze do kosza. Nie są jeszcze dobre. Mamy wrażenie, że błąka się Pan około swej własnej ekspresji poetyckiej, nie mogąc. nie umiejąc jej jeszcze wydobyć. Nic Panu w tym wypadku nie poradzimy, trzeba samemu szukać. Unikać kompromisów „dla rymu“, unikać słów nieszczerych, szukać najprostszych i najszczerszych. Z tych dopiero układać swą poezję.

A. M. Lublin: Nie jesteśmy zachwyceni. Wiersze te pójdą, mimo, iż mamy znaczne zastrzeżenia co do końcowych refleksyj, które są słabe, prawie pospolite. Trzeba jednak, poruszając takie tematy, myśleć głębiej i poważniej!

W. Czer. W-wa: Zawsze prawie tosamo. Po pierwszym występie następuje depresja. Adeptowi zdaje się, że wszystko, co napisał jest znakomite. Nie trzeba zatracać autokrytycyzmu. Nadesłane wiersze bez porównania słabsze od poprzednich. Obraz, porównanie, treść sama, wszystko rozpływa się tu w nieuzasadnionej zgoła potrzebie łatwego rymowania. Cóż to ma wspólnego z poezją?!

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *TADEUSZ HIZ*

Drukarnia Artystyczna, N.-Świat 47. Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.